

# Gazeta Teatralna

Nr 5 3 listopada 2013 Centrum Kultury *Muza*



## Czarnobyl 26.04.1986 r. (zapisane w pamięci)

Chodziłam wtedy do szkoły podstawowej i pamiętam stanie w kolejce, żeby napić się ohydnygo płynu. Tato pracował w Związku Radzieckim (150 km od Czarnobyla) na kontrakcie. Wrócił 2 tygodnie po wybuchu reaktora. Niektórzy zostali tam dłużej, poważnie chorowali. (Gosia)

...  
Mama zaciągnęła mnie do przychodni. Kazali mi wypić świństwo. (Wiesiek)

...  
Wybuch w elektrowni czarnobylskiej to niedobre wspomnienie z przeszłości. To strach o życie dwuletniej córeczki. Płyn Lugola pospiesznie podawany małym dzieciom - śmieszna próba walki z niewidzialnym wrogiem, wobec którego człowiek i tak jest bez szans. (Hania)

...  
Mama zadzwoniła, że ma sygnał od wujka z Politechniki Wrocławskiej, że coś złego się dzieje - liczniki Geigera szaleją i lepiej nie wychodzić z domu. Kazała wsiadać w pierwszy pociąg jadący na zachód Polski, uciekać z Krakowa. I uważać na deszcz. Byłam wtedy w drugim miesiącu ciąży, ale nie zdawałam sobie sprawy, z czym może się wiązać napromieniowanie. Domysły stawały włosy na głowie. (Małgosia)

...  
Gdyby awaria reaktora w Czarnobylu wydarzyła się dzisiaj, wiedzielibyśmy o niej prawie natychmiast. Wszystkie media prześcigałyby się w jej relacjonowaniu. A jak było w 1986 roku? Najpierw cisza przez pierwsze dni po wybuchu reaktora, a później próby pomniejszania i bagatelizowania jego skutków. Aż w końcu informacja, żeby podać dzieciom płyn Lugola w celach „profilaktycznych”. Moja córka miała wtedy 2 lata i pamiętam jak 1 maja poszłam z nią do przychodni, żeby podać jej roztwór jodyny. Była malutka, nie chciała tego pić. Większa część cieczy podana przez pielęgniarkę wylądowała na koszulce, a nie w ustach dziecka. Pamiętam, że było wtedy bardzo ciepło, staraliśmy się jednak nie wychodzić z domu, wiedząc, że chmura radioaktywna może właśnie krążyć gdzieś nad naszymi głowami. Wiadomość o wybuchu atomowym na Ukrainie drażyła nasze umysły, czuliśmy się oszukani, okłamani przez władzę... naprawdę przerażeni. (Krysia)

## Aktorem być

Scena to magiczne miejsce. Przeobraża, uwrażliwia, pobudza wyobraźnię - zarówno widza, jak i aktora. Doświadczył tego każdy, kto w dzieciństwie czy wczesnej młodości „bawił się w teatr”. Konkursy recytatorskie, warsztaty teatralne to ważne doświadczenia, często stresogenne, ale zazwyczaj wartościowe i miłe. Rodzice posyłają



na nie dzieci po pierwsze: z nadzieją, że prowadzący wydobędzie artystyczny potencjał z ich pociech, po drugie: w imię walki ze wstydem (warsztaty teatralne = przebojowość), po trzecie: aby rozwijać pasje, szukać hobby. Nie zapominajmy o młodzieży, która sama takich zajęć szuka i chętnie w nich uczestniczy - z wyżej wymienionych powodów lub tysiąca innych.

Prowadzę warsztaty dla młodzieży już piąty rok i z przyjemnością obserwuję przeobrażenia młodych osób - występujących w sztukach, pracujących w wolontariacie teatralnym, współtworzących kulturę naszego miasta.

Niewielki procent młodych aktorów-amatorów kontynuuje swoją przygodę z teatrem. Stajemy się odbiorcami. Większość z nas przechowuje zakurzone dyplomy z przeszłości i opowiada swoim dzieciom, jak to kiedyś grała Romea/ Hamleta/ halabardnika. Rzeczywistość weryfikuje nasze plany i marzenia. Poważnijemy i nasze aktorskie zapędy ograniczają się do imprez karnawałowych, przebojowości w opowiadaniu dowcipów czy prowadzenia wykładów i szkoleń z showmańskim zacięciem. Scena wzywa, a życie

hamuje - bo już nie wypada, bo za późno, bo „co ludzie powiedzą”. Są jednak tacy, którzy wbrew logice, próbują stworzyć grupę warsztatów teatralnych dla dorosłych, mało tego, realizują projekty i spektakle! Przykładem niech będzie Teatr Na Końcu Świata z Nieszczyca, gdzie do roli aktorów zaangażowani zostali mieszkańcy wsi, Grupa Kabaretowa z Obory czy grupa teatralna funkcjonująca rok temu w CK „Muza”. Jest to dowód, że potrzebujemy, chcemy, że powinniśmy.

Następnym więc razem, gdy nadarzy się okazja proszę się nie wahać i nie wstydzić. Uwolnijmy nasze artystyczne dusze i dajmy upust naszemu, na co dzień, ignorowanemu, talentom.

Gabriela Donczew, fot. Janusz Mróz



## „Ida” bierze wszystko

Grand Prix dla najlepszego filmu oraz Nagroda Jury Ekumenicznego na 29. Warszawskim Festiwalu Filmowym, nagroda dla najlepszego filmu podczas 57. Londyńskiego Festiwalu Filmowego, Nagroda Międzynarodowej Federacji Krytyki Filmowej (FIPRESCI) na MFF w Toronto, 9 nagród na tegorocznym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (w tym dla najlepszego filmu) - polski film „Ida” ze scenariuszem i w reżyserii Pawła Pawlikowskiego (na stałe mieszkającego w Wlk. Brytanii) od kilku tygodni zdobywa nagrody na polskich i zagranicznych festiwalach.

Opowieść o Annie, która została umieszczona w klasztorze jako sierota. Zanim przyjmie święcenia

musi odwiedzić ciotkę Wandę, która mówi Annie, że jest Żydówką. Obie kobiety zaczynają podróż, która nie tylko ma pomóc poznać tragiczną historię ich rodziny, ale i prawdę o tym, kim są...

Tadeusz Sobolewski („Gazeta Wyborcza”) o „Idzie”: „Cichy film wielkich pytań nurtujących nas wszystkich: o zło, wiarę, naszą tożsamość i kraj. To jeden z najdojrzalszych filmów ostatnich lat”.

Joe Morgenstern („The New York Times”): „IDA jest świadectwem, jak mniej może znaczyć więcej oraz siły gry aktorskiej. Odarta ze zbędnej techniki, ta znakomita fabuła dotyka kwestii narodowej, ale też osobistej tożsamości i ukazuje potrzebę wiary w ten zdumiewający świat”.

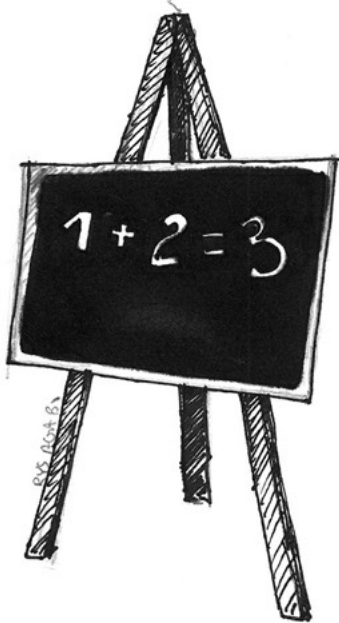


„Ida” w kinie „Muza” w dniach 4 - 14 listopada. Godziny seansów na ulotkach i na [www.ckmuza.eu](http://www.ckmuza.eu). (BK)

## W poszukiwaniu rekwizytu

Kilka lat temu gościł u nas ze spektaklem pt. „Belfer” Wojciech Pszoniak. Przedstawienie miało uświetnić Dzień Nauczyciela i tak też reklamowaliśmy ten monodram.

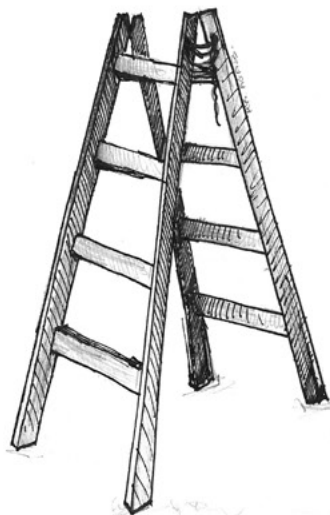
Jako gospodyni zostałam poproszona o zorganizowanie dwóch najważniejszych rekwizytów, tzn. starej, czarnej tablicy, która miała być ustawiona na trójkątnym stojaku na scenie oraz wielkiego, starego biurka. Okazało się to wręcz niewykonalnym zadaniem.



Większość szkół oferowała mi zielone tablice lub co gorsza, jeszcze bardziej nowoczesne - do pisania specjalnymi pisakami. Sam spektakl odbywał się w nieco archaicznej scenerii. W końcu, dzięki życzliwości dyrektorów zwiedziłam piwnice i magazyny najstarszych szkół w mieście, znalazłam masywne, ciężkie i lekko zniszczone biurko w dawnym Technikum Górniczym, a tablicę wydobyłam z zakamarków I LO.

Tego dnia Pszoniak nie był w najlepszym nastroju, ale kiedy już jako tytułowy belfer wszedł na scenę, położył na biurku swoją zniszczoną, skórzaną teczkę (tę przywiózł akurat ze sobą) i napisał białą kredą na „antycznej”, czarnej tablicy „Uczniowie to zwierzęta” – zerwała się burza oklasków. Jak bardzo tym stwierdzeniem uderzył w czułą strunę belferskiej widowni – miał się dopiero przekonać. Publiczność reagowała tak żywo i spontanicznie, że sam aktor był zaskoczony. Jego bohater rozkwitał na naszych oczach, a słowa stawały się soczyste i sugestywne. Niósł go ten aplauz ponad 300 belfrów z widowni i dodawał skrzydeł, a opowieść o wystrzelaniu jednej klasy z karabinu maszynowego stała się metaforą końca belferskiej udręki. Nie muszę dodawać, że przedstawienie zakończyło się owacją na stojąco, widzowie wcale nie chcieli opuścić sali. Wręczając mu bukiet na scenie, powiedziałam: - Tu jest ponad 300 nauczycieli i wszyscy Pana kochają!

Inna przygoda z rekwizytem zdarzyła się przed spektaklem Jana Peszka „Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”. W riderze do sztuki napisano m.in. drabina. 1,5 godziny przed występem dostałam telefon od menedżerki, że drabina, którą przygotowaliśmy, zupełnie się nie nadaje. Chodziło o klasyczną dwustronną drabinę drewnianą, malarską, a nie o coś w rodzaju kominarskiej. Wpadłam w panikę. Na szczęście mieszkam w sąsiedztwie życzliwego prezesa ogródków działkowych, który wyczuł grozę sytuacji i natychmiast po telefonie ruszył po rekwizyt z moim mężem i szwagrem. Tuż przed przedstawieniem drabina, zręcznie przywiązana do dachu naszego auta, dotarła do „Muzy”. Potrzebnego rekwizytu, co



prawda, używali właśnie malarze, ale z ochotą się z nim rozstali na jeden wieczór, a nam też odpowiadało, że na drabinie zapisała się plamami historia jej życia. Jan Peszek posypał ją jeszcze mąką i wcale nie w czystym ubraniu zrobił na niej kilka fikołków.

Kilka godzin wcześniej tego samego dnia miałam okazję gościć aktora u siebie w domu na obiedzie, bo wtedy jeszcze nie było restauracji w Centrum Kultury „Muza”, a ja miałam przygotowany pyszny obiad. Na pytanie Jana Peszka, który trochę wcześniej pojawił się w „Muzie” i zadzwonił do mnie z pytaniem: „Gdzie tu można dobrze zjeść?”, odpowiedziałam bez zastanowienia: „U mnie, już po Pana idę” – i wybiegłam z domu ku przerażeniu rodziny, która w pośpiechu „ogarniała” kuchnię. Oczekiwałam przyjaciół z Krakowa, którzy specjalnie właśnie na występ Peszka przyjeżdżali. Okazało się, że mamy wspólnych krakowskich znajomych. W każdym razie miło i bardzo kulturalnie gawędziło się nad karczkiem z warzywami.

Małgorzata Życzkowska-Czesak

Do zobaczenia  
na kolejnym spektaklu  
pt. „Rodzina Kerwoodów”



Zapraszamy Państwa  
do współtworzenia naszej  
„Gazety Teatralnej”.  
Prosimy o nadsyłanie własnych  
refleksji na temat spektakli,  
które prezentowane są  
na scenie Centrum  
Kultury „Muza” w Lubinie.  
Chętnie wysłuchamy  
również opinii i komentarzy  
dotyczących gazety.  
Email: [promocja@ckmuza.pl](mailto:promocja@ckmuza.pl)

## Twarze „Muzy”



## Jazz „na żywo”

To było jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Mój Boże, jak to brzmi? Jak zamierzchłe czasy – a przecież dla mnie to tak niedawno... bliskie mi czasy mojego dzieciństwa. Może to była niedziela... Jak wiele innych dzieciaków „płatałam się” po „Muzie”. Weszłam na patio (w tym miejscu aktualnie znajduje się Restauracja), przeszłam schodkami w prawo i znalazłam się na widowni jakiegoś koncertu. To była taka letnia, otwarta scena „Muzy” znajdująca się na jej tyłach. Czy ktoś to jeszcze pamięta...? Kilku poważnych facetów stało tam i grało muzykę, z którą nigdy wcześniej nie obcowałam – to był jazz. Im dłużej słuchałam prezentowanych utworów, tym bardziej mi się podobały. Chyba wtedy poczułam magię jazzu. I mam świadomość, że stało

się tak, bo słuchałam koncertu „na żywo”. W tamtych latach muzyka „na żywo” brzmiała zupełnie inaczej niż ta z radia czy telewizji. Dziś w dobie cyfrowego zapisu jest inaczej, ale koncerty „live” nadal dają coś więcej niż słuchanie muzyki z „bezdusznymi” cyfrowych nośników.

Ciekawa jestem koncertu jazzowego, który w Klubie Pod Muzami zagrali: Wojciech Karolak, Patrycjusz Gruszecki, Zbigniew Lewandowski i gościnnie Tomasz Grzegorski. Czy porwą publiczność? I czy będzie jak w teście „Autobiografii” Perfectu: „...w kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdarł...”?

„KAROLAK, LEWANDOWSKI, GRUSZECKI TRIO” w Klubie Pod Muzami, 9 listopada o godz. 19:00.

Krystyna Huzarewicz

## Tak budowała się „Muza”

